

MŁODY KRAKÓW

Czytajże!

nr 23 • LISTOPAD 2021 • www.mlodziez.krakow.pl • ISSN 2657-585X

—
**WOLONTARIAT
DLA MAŁUCHA**

—
**LEGENDARNY
BRUCE LEE**

**KOSMICZNE
MOŻLIWOŚCI**



Czas podsumowań, czas pożegnań

Koniec roku ma swoją atmosferę. Od początku grudnia właściwie już czekamy na święta Bożego Narodzenia, planujemy zabawy sylwestrowej nocy i powoli możemy zacząć podsumowywać kończący się rok.

Redakcja „Młodego Krakowa – Czytajże” z pewną satysfakcją może zanotować, że w 2021 roku udało się dostarczyć Czytelnikom kolejnych osiem wydań czasopisma. Dotychczas wydaliśmy ich 24.

Najprawdopodobniej już w nowym roku w pracy redakcji zajdą pewne zmiany – mamy nadzieję – pojawią się nowi redaktorzy, a z nimi nowe, jeszcze ciekawsze pomysły na teksty. Tymczasem polecamy kolejny, ostatni w tym roku numer „Czytajże”. W nim sporo interesujących materiałów.

Szczególnie polecamy artykuły dotyczące wolontariatu, wszak na początku grudnia obchodzimy Międzynarodowy Dzień Wolontariatu. Na pewno warto też zajrzeć do tekstu o perspektywach rozwoju przemysłu kosmicznego. Jakie daje to możliwości!

Mam nadzieję, że lektura „Młodego Krakowa” przyniesie Czytelnikom dużo przyjemności.

Mateusz Talaczyński

**Projekt „Młody Kraków – Młode Media”
otrzymał nagrodę Europejskiej
Sieci Miast Przyjaznych Dzieciom
w Stuttgarcie w roku 2011.**



Wydawca:
Urząd Miasta Krakowa
Wydział Polityki Społecznej i Zdrowia
ul. Dekerta 24, 30-703 Kraków

Adres redakcji:
Referat ds. młodzieży, pok. 16
ul. Dekerta 24, 30-703 Kraków

Kontakt z redakcją:
tel. 12 616-78-19
e-mail: mlodziej@um.krakow.pl

Redaguje zespół:
Tomasz Talaczyński (redaktor naczelny),
Bartek Hałatek, Lidia Kędra,
Kinga Kowal, Mikołaj Ługowski,
Alicja Bazan, Jakub Pilarski,
Błażej Renc, Mateusz Talaczyński,
Jerzy Walaszek, Jagoda Burekowska

**Opracowanie graficzne,
pomoc redakcyjna i korekta:**
QR Communications

Zdjęcie na okładce:
Unsplash: Aldebaran S.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo ich skracania, zmiany tytułów oraz redakcyjnego opracowywania tekstów przyjętych do druku. Fotografie zamieszczone w magazynie są ogólną ilustracją tekstów, nie zawsze przedstawiają bohaterów artykułów.

SPIS TREŚCI

- 03 ■ Wolontariat dla malucha**
- 05 ■ Terapia w siodle**
- 07 ■ Tajemnicza legenda Małego Smoka**
- 10 ■ Kosmiczne możliwości**
- 13 ■ Od gwintówki do springfielda**
- 16 ■ Pędzel i polityka**
- 19 ■ Miejscówki uszyte na młodą miarę**



**m ł o d y
KRAKÓW
2.0**



Fot. Freepik

Wolontariat dla malucha

Jedno na dziesięcioro dzieci na świecie rodzi się przedwcześnie. W ramach specjalnych akcji wolontariusze wspierają je w pierwszych tygodniach życia.

Bliźniaczki Kyrie i Brielle urodziły się trzy miesiące przed terminem i ważyły po niespełna kilogramie. Pierwsza z sióstr rozwijała się dobrze, natomiast druga po trzech tygodniach znalazła się w stanie krytycznym – nie mogła złapać oddechu. Wtedy jedna z pielęgniarek, za zgodą rodziców, umieściła bliźniaczki we wspólnym inkubatorze, choć nie było to zgodne z przepisami. Nikt nie spodziewał się, jak duże znaczenie będzie to miało dla życia Brielle. Gdy połączono siostry, te przytuliły się do siebie. Tętno słabszej dziewczynki zaczęło się stabilizować, a jej oddech stał się poprawny. Bliskość Kyrie uratowała jej życie.

Na pomoc wcześniakom

Jedno na dziesięcioro dzieci na świecie rodzi się przedwcześnie. Wyrazem solidarności z takimi maluchami oraz ich rodzinami jest Światowy Dzień Wcześniaka, który obchodzimy 17 listopada. Ma on na celu m.in. zwiększanie świadomości o problemach dzieci urodzonych przedwcześnie. W Polsce obchody tego dnia zainicjowała Fundacja „Wcześniak”. Wiele budynków, takich jak szpitale, urzędy czy centra handlowe, podświetlanych jest wtedy na fioletowo. W ramach wyrazu solidarności wywieszane są także rzędy skarpetek – dziewięć większych i jedna mniejsza – symbolizujących statystyki przedwczesnych urodzeń. Jest to również podziękowanie dla personelu medycznego, który towarzyszy dzieciom w ich trudnej drodze rehabilitacji.

Fundacja „Wcześniak Rodzice Rodzicom” została założona przez rodziców wcześniaka i wspiera rodziców dzieci urodzonych przed 36. tygodniem ciąży. Wspomaga ich poprzez dostęp do informacji oraz kontakt z innymi rodzicami, którzy przeszli podobną drogę. Dzięki współczesnej medycynie udaje się uratować ekstremalnie małe wcześniaki – nawet takie, które ważą poniżej 750 gramów. Jednak zbyt wczesne przyjście na świat może pociągać za sobą zaburzenia zdrowia u dziecka i późniejszego rozwoju – intelektualnego, poznawczego i emocjonalnego. Dlatego wsparcie udzielone rodzicom jest tak istotne.

Przytulas ratuje życie

Badania naukowe udowadniają, że przytulanie jest człowiekowi bardzo potrzebne. Powoduje uwalnianie się do mózgu oksytocyny, tzw. hormonu dobrego samopoczucia, oraz endorfin – hormonu szczęścia, wydzielanych także wskutek wysiłku fizycznego i jedzenia czekolady. Jak twierdzi psycholog Joanna Szeląg, dziecko już w trzecim trymestrze ciąży zaczyna słyszeć i czuć swoją mamę. Po urodzeniu niemowlę przede wszystkim poprzez zmysł dotyku bada świat – jego skóra jest cienka i słabiej osłania zakończenia nerwowe. Dlatego dziecko bardzo potrzebuje kontaktu fizycznego z matką, który daje poczucie bezpieczeństwa. Szczególnie ważne jest to u wcześniaków, które przed czasem zostają wyrwane z przytulnego i bezpiecznego schronienia, jakie



zapewnia im organizm mamy. Mało popularne w Polsce, a bardzo wskazane dla dziecka jest tzw. kangurowanie. Polega ono na trzymaniu malucha blisko klatki piersiowej rodzica, skóra przy skórze. Nie jest to to samo, co zwyczajne noszenie malucha. Dziecko słyszy bicie serca bliskiej osoby, jest kołysane w rytm jej oddechu i ogrzewane ciepłem ciała.

Kangurowanie jest szczególnie zalecane wcześniakom, które oprócz pobytu w zupełnie obcym dla nich inkubatorze mogą znaleźć się blisko tego, co znają najlepiej – ciała matki – i doznać choć częściowego wrażenia bycia otulonym przez wody płodowe.

Miłość dla odrzuconych

Niestety, nie wszystkie nowo narodzone dzieci mogą cieszyć się bliskością mamy. Dlatego powstał wyjątkowy projekt, w ramach którego wolontariusze przytulają dzieci umieszczone w ośrodkach preadopcyjnych, czyli miejscach, gdzie przebywają maluchy do 1. roku życia, niemające jeszcze rodzin zastępczych. Często trafiają tam z okien życia czy szpitali, w których zostały porzucone.

Badania naukowe udowadniają, że przytulanie jest człowiekowi bardzo potrzebne.

Powoduje uwalnianie się do mózgu oksytocyny, tzw. hormonu dobrego samopoczucia, oraz endorfin – hormonu szczęścia, wydzielanych także wskutek wysiłku fizycznego i jedzenia czekolady.

Tu wkraczają takie ośrodki, jak Otwocki Ośrodek Preadopcyjny, do którego zgłaszali się wolontariusze. Ich zadaniem było dawanie noworodkom poczucia więzi poprzez przytulanie i zabawę. W 2016 roku powstał pierwszy Interwencyjny Ośrodek Preadopcyjny „Tuli Luli” w regionie łódzkim. Jego wnętrze jest bardzo przytulne, panuje tam domowa atmosfera. Każdy maluszek ma przydzielone trzy opiekunki, tak by miał stały krąg znajomych osób. Dzieci są tulone od rana do wieczora, a nawet w nocy, bo tuż po przyjściu na świat noworodki potrzebują najwięcej bliskości – inaczej na całe życie może pozostać w nich trauma związana z poczuciem porzucenia.

Wolontariusze z ośrodków preadopcyjnych opowiadają, jak maluchy, które wcześniej bały się bliskości i nie utrzymywały kontaktu wzrokowego, pod wpływem przytula-



Fot. Freepik

nia i troski zaczynają gaworzyć, śmiać się i zbliżać do opiekuna. Niestety, podobnych ośrodków w Polsce nie znajdziemy wiele. A potrzeba jest ogromna, bo z szanków wynika, że co roku jest porzucanych ok. 800 noworodków. Przed rozpoczęciem pandemii również w poznańskim Ginekologiczno-Położniczym Szpitalu Klinicznym prowadzona była akcja „Terapia Sercem”, polegająca na dawaniu wcześniakom i opuszczonym noworodkom ciepła i miłości.



Ośmiorniczki dla wcześniaków, zdjęcie pochodzi ze strony Fundacji Małych Serc

Maskotkowy wolontariat

Oprócz ośrodków preadopcyjnych i wolontariatu polegającego na przytulaniu maleństw istnieje także nietykowa inicjatywa Fundacji „Małych Serc” pn. „Ośmiorniczki dla wcześniaków”. Polega ona na szydełkowaniu pluszaków w kształcie ośmiorniczek, które w inkubatorze pomagają maluchom lepiej się poczuć, gdyż ich macki przypominają pępowinę. Przed włożeniem do inkubatora mama nosi taką maskotkę przy sobie, by ta nasiąkła jej zapachem i skolonizowała w sobie odpor-nościowe bakterie.

Lidia Kędra



Fot. Freepik

TERAPIA W SIODLE

O tym, że kontakt z koniem ma pozytywny wpływ na zdrowie człowieka, wiadomo było już w starożytności. Wykorzystywać konie w terapii osób niepełnosprawnych zaczęto w latach 50. i 60. ubiegłego wieku.

KOŃ TERAPEUTĄ?

Dzieci z niepełnosprawnościami, zarówno umysłowymi, jak i ruchowymi, często dostają zalecenie lekarskie, by oprócz standardowego leczenia zgłosić się do udziału w zajęciach z hipoterapii, czyli terapii psychoruchowej z udziałem konia. W niektórych stajniach czy klubach jeździeckich można w nich uczestniczyć za niższą opłatą dzięki dofinansowaniu ze środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Aby zapisać dziecko na takie zajęcia, trzeba najpierw dostarczyć dokumentację medyczną o stanie zdrowia dziecka i przedstawić zaświadczenie lekarskie o braku przeciwwskazań zdrowotnych do udziału w tego typu zajęciach.



WSZECHSTRONNA POMOC

Liczne badania potwierdzają ogromną skuteczność hipoterapii dla zdrowia psychicznego oraz fizycznego jej uczestników. Pomaga ona zredukować stres, normalizuje napięcie mięśni, poprawia koordynację wzrokowo-ruchową, zwiększa zdolność koncentracji, pomaga się wyciszyć, a dzięki rytmicznym ruchom konia i poruszaniu się dziecka w siodle w ich takt utrwała w mózgu prawidłowy wzorec ruchu miednicy podczas chodu. Ma to ogromne znaczenie przy rehabilitacji osób zmagających się z trudnościami w poruszaniu się. Możliwość dotykania grzbietu oraz grzywy konia pomaga osobom z zaburzeniami czucia, a także zaburzeniami integracji sensorycznej i związaną z nimi nadwrażliwością na dotyk – przyzwyczajają do kontaktu fizycznego.

Warto pamiętać, że hipoterapia jest interdyscyplinarną dziedziną wiedzy, a więc czerpie z wielu nauk, m.in. psychologii, pedagogiki, fizjoterapii. Prowadzący terapię z końmi są w stałym kontakcie z innymi specjalistami. Z ich badań, obserwacji, doświadczenia i rad korzystają w codziennej pracy.

OKIEM TERAPEUTY

Beata Opiat pracuje jako hipoterapeutka w Ognisku



Fot. Freepik



TKKF Przyjaciół Konika. Trafiła tam już jako studentka. Zgłosiła się do właściciela stadniny po znalezieniu ogłoszenia w sieci o poszukiwaniu wolontariuszy do hipoterapii. Praca z dziećmi i końmi tak bardzo jej się spodobała, że zdecydowała się na rozpoczęcie kursu i zdobycie uprawnień hipoterapeuty. Zrobiła je zaraz po ukończeniu studiów – zootechniki.

Do jej codziennych obowiązków należy opieka nad końmi, koordynowanie zajęć z hipoterapii, szkolenie wolontariuszy i nadzorowanie ich pracy oraz prowadzenie dokumentacji. Twierdzi, że wykonywany zawód daje jej wiele radości i satysfakcji. Bardzo się cieszy, gdy dzieci, dzięki obcowaniu z końmi, pokonują codzienne trudności. Zauważa, jak jej podopieczni dzięki terapii łatwiej nawiązują kontakty z innymi ludźmi, stają się bardziej otwarci, zaczynają wierzyć we własne możliwości, jak poprawiają się ich możliwości ruchowe i zdol-

Aby zostać wolontariuszem, nie trzeba spełniać wielu wymagań. Nie trzeba być osobą pełnoletnią ani mieć dużego doświadczenia w opiekowaniu się końmi, ponieważ wszystkiego można nauczyć się podczas wolontariatu.

ności manualne oraz jak wzrasta ich samodzielność. Beata podkreśla, że terapeutą jest nie tylko ona, ale przede wszystkim zwierzę, na którego grzbiecie siedzi dziecko. To bliskość zwierzęcia i ruch jego ciała działają terapeutycznie. Dlatego tak ważne jest, aby do hipoterapii wybrać odpowiedniego wierzchowca. Musi on mieć łagodne usposobienie i wykazywać dużą cierpliwość. Powinien też być w odpowiednim wieku i nie za wysoki w kłębie, tak by osoby asekurujące uczestnika terapii mogły go w razie potrzeby podtrzymywać. Każdorazowo koń powinien być dobrany do potrzeb danego dziecka.

O KONIA TEŻ TRZEBA ZADBAĆ

Jak przyznaje Gabrysia, która od dwóch lat pomaga w prowadzeniu zajęć, zaangażowanie się w wolontariat było dla niej ważną lekcją cierpliwości, zrozumienia i odpowiedzialności za bezpieczeństwo innych.

Twierdzi, że wypełnianie obowiązków wolontariusza – czyszczenie i siodłanie koni, asekuracja dzieci w trakcie jazdy i pomaganie im w wykonywaniu ćwiczeń zaleconych przez terapeutę – wnosi w jej codzienność wiele radości; największą przyjemność sprawia jej uśmiech podopiecznych. Dodaje, że udział w prowadzeniu hipoterapii to także okazja dla wolontariusza, aby na łonie natury wypocząć po męczącym dniu w szkole, pracy bądź na uczelni. A dzięki bliskości konia i zaangażowaniu w to, co robi, może oderwać się od zmartwień czy nieprzyjemnych myśli.



Fot. Freepik

MIEJSCE DLA KAŻDEGO!

Aby zostać wolontariuszem, nie trzeba spełniać wielu wymagań. Nie trzeba być osobą pełnoletnią ani mieć dużego doświadczenia w opiekowaniu się końmi, ponieważ wszystkiego można nauczyć się podczas wolontariatu. Hipoterapeuci chętnie udzielają wskazówek. Najważniejsze, by umieć zachować spokój w kontaktach z dziećmi uczestniczącymi w terapii i ze zwierzętami. Aby podjąć taką pracę, wystarczy zgłosić się do osób, które prowadzą tego typu zajęcia. Najłatwiej zrobić to, szukając ogłoszeń w sieci.

Alicja Bazan



TAJEMNICZA LEGENDA MAŁEGO SMOKA



Był idolem nastolatków w wielu krajach. Każdy chciał być jak Bruce Lee. „Wejście smoka” z jego udziałem zarobiło aż 90 mln dolarów!



Bruce Lee podczas premiery filmu Wielki szef (1971)
Wikipedia, licencja CC BY-SA 4.0

Hongkong, koniec lat 50. XX wieku. W komisariacie na swoją kolej czeka nastoletni chłopak. To nie pierwszy raz w miesiącu, kiedy zamiast przy kolacji w rodzinnym domu siedzi w otoczeniu umundurowanych funkcjonariuszy, tłumacząc się z kolejnego starcia na ulicach Koulun. Sąsiedzi się skarżą, nauczyciele narzekają, a rodzice ślepo wierzą, że nastoletni Bruce Lee jeszcze wyjdzie na prostą. Kilkanaście lat później skończy studia na wydziale filozofii, spopularyzuje opracowaną przez siebie metodę walki i zostanie gwiazdą największych kinowych przebojów. A po jego śmierci ludzie będą mu stawiać pomniki. – I kto by o tym wszystkim wtedy pomyślał – komentuje po latach młodszy brat Bruce'a, Peter.

Z ULICY DO MISTRZOSTWA

Na ekranie pojawił się po raz pierwszy, kiedy miał około trzech miesięcy – na rękach ojca, mało znanego aktora, który przez całą swoją karierę zaangażowany był w realizację zaledwie czterech filmów pełnometrażowych. Bruce, a właściwie Lee Jun-fan, przebił go w tym względzie dosyć szybko, bo przed osiągnięciem pełnoletności uczestniczył w aż 13 produkcjach! Ale ten czas to w jego przypadku nie tylko rozkwitająca pasja do aktorstwa. Oprócz niej poświęcał się kolejnym sportom walki, spośród których najbardziej lubił ćwiczyć kung-fu.

– *Jakoś przed dzikusami na ulicy musisz się bronić* – miała mu powiedzieć matka po tym, jak w domu zjawił się ze złamanym palcem i zakrwawioną twarzą na sku-

tek ataku jednego z ulicznych gangów. I tak się zaczęło. Turnieje, zawody, medale i tryumfy, a przy tym także te mniej przyjemne doświadczenia, jak wydalenie ze szkoły z powodu licznych bójek i awanturniczego charakteru. Aby spożytkować nadmiar energii, Bruce zapisał się na lekcje tańca, a niedługo potem został mistrzem Hongkongu w latynoamerykańskim tańcu cha-cha.

– *Tak narodził się Bruce* – łącząc finezję tańca z ulicznymi bezpardonowymi walkami w najbardziej niebezpiecznych dzielnicach, a przy tym pobierając masę bezcennych nauk na planach filmowych – podsumował jego dzieciństwo chiński aktor Cho-fan Ng, współpracujący z Bruce'em przy okazji realizacji ośmiu filmów.

UCIECZKA DO INNEGO ŚWIATA

Kiedy ciągłe konflikty i zatargi Bruce'a z policją osiągnęły apogeum, jego rodzice zgodnie uznali, że nie ma powodu, aby dłużej czekać, i zaraz po 18. urodzinach wystali go do San Francisco, gdzie zamieszkał w chińskiej dzielnicy. Pierwsze lata w nowym miejscu były dla niego niezwykle trudne – pracował w restauracji krewnego i był nauczycielem i instruktorem tańca. Mimo to każdego miesiąca obawiał się, czy wystarczy mu pieniędzy na czynsz i jedzenie.

Przełom nastąpił, kiedy dostał się na studia w Waszyngtonie; wybrał filozofię. Po zakończeniu nauki założył własną szkołę kung-fu, a niedługo później na rynku zaczęły się ukazywać jego książki o tej tematyce.





AMERICAN DREAM SIE SPEŁNIA

Amerykański sen zaczął się spełniać, kiedy Lee opracował autorski styl walki zwany jeet kune do, dzięki czemu jego popularność wzrosła na tyle, że szkołę kung-fu mógł przenieść do stanowiącego amerykańskie centrum show-biznesu Los Angeles. Potem było już tylko lepiej – nawiązał znajomość z wpływowym producentem Williamem Dozierem, co ułatwiło mu późniejsze zwycięstwo w castingu na rolę w serialu „Zielony szerszeń”. Dzięki niemałej oglądalności tej produkcji o jego talencie artystycznym i kung-fu w Ameryce usłyszał prawie każdy, począwszy od zwykłych widzów, zasiadających co tydzień przed telewizorem, a skończywszy na tuzach pokroju Romana Polańskiego, Sharon Stone czy Steve’a McQueena, którym Bruce zaczął udzielać prywatnych lekcji sztuk walki.

ZNAĆ SWOJĄ WARTOŚĆ

Rola w „Zielonym szerszeniu” oraz późniejszy epizod w dramacie kryminalnym „Marlowe” zdecydowanie Bruce’owi nie wystarczały. Dostawał niewiele propozycji z Hollywood i miał wrażenie, że z miesiąca na miesiąc robi się o nim coraz ciszej. Dlatego Mały Smok podjął decyzję o powrocie do Hongkongu, co okazało się strzałem w dziesiątkę.

Tuż po przyjeździe Bruce’a o spotkanie poprosił pracownik wytwórni Golden Harvest, która miała wówczas w planie realizację dwóch filmów: „Wielkiego szefa” i „Wściekłych pięści”. Producent negocjacje z Bruce’em

Na ekranie pojawił się po raz pierwszy, kiedy miał około trzech miesięcy – na rękach ojca, mało znanego aktora, który przez całą swoją karierę zaangażowany był w realizację zaledwie czterech filmów pełnometrażowych. Bruce, a właściwie Lee Jun-fan, przebił go w tym względzie dosyć szybko, bo przed osiągnięciem pełnoletności uczestniczył w aż 13 produkcjach!



przeprowadził w sposób najlepszy z możliwych, bo ten bez zastanowienia zaangażował się w obie produkcje. Oba filmy niemal od razu po premierach stały się hitami w wielu krajach na świecie. A za rolę w drugim z nich Bruce otrzymał nagrodę specjalną jury na prestiżowym tajwańskim festiwalu. Również z tego filmu pochodzi słynna scena, w której Lee silnym kopniakiem rozbija ustawioną przed wejściem do miejskiego parku tabliczkę, na której napisano: „Chińczykom i psom wstęp wzbroniony”.



fot. Pop&Zebra | Unsplash | Mural w Sai Ying Pun w Hong Kongu.

SMOK WYCHODZI Z CENIA

Podbudowany niewyobrażalnym komercyjnym sukcesem „Wściekłych pięści” Lee postanowił założyć własną wytwórnię – Concorde Film Production. Nim minął rok, na ekranach kin pojawiła się „Droga smoka”, która oprócz odkrycia w nim utalentowanego reżysera i scenarzysty pozwoliła także zaistnieć w świecie kina innej ikonie – Chuckowi Norrisowi oraz umożliwiła Bruce’owi spotkanie z legendą karate – Robertem Wallem.

Pytany później w wywiadach o dosyć niespodziewany wyjazd ze Stanów, odpowiadał krótko: – Jediną drogą rozwoju jest ciągłe podnoszenie poprzeczki. A jego żona, Linda Emery, po premierze „Drogi smoka” dodała: – Na początku mu się dziwiłam i nie byłam przekonana. W końcu w Stanach spotykał się prywatnie i zawodowo z Polańskim, Stone i resztą światowych gwiazd. A tu nagle zaczął nalegać na powrót do Hongkongu. Potem mogłam mu już tylko pogratulować – odwagi, determinacji i konsekwencji. Mimo że brzmi to absurdalnie, czułam, że nie powinien być w niczym cieniu – nawet tak zasłużonych reżyserów, aktorek i sportowców. To było jednocześnie szalone i genialne. Cały on. Oboje nie mieli wtedy pojęcia, że za niecałe osiem miesięcy ich życie znów obróci się o 180 stopni.

NIESPODZIEWANY ATAK

Rankiem 21 lipca 1973 roku świat obiegła tragiczna informacja o śmierci Bruce’a Lee. Brak oficjalnego komunikatu uwzględniającego przyczyny jego przedwczes-



snego odejścia sprawił, że w prasie, radiu i telewizji reporterzy snuli kolejne domysły, starając się wytłumaczyć zdezorientowanym milionom ludzi, jak mogło do tego dojść. Rodzina dziwiła się jeszcze bardziej, gdyż przez długi czas również nie znała konkretnych powodów jego śmierci. To, co się stało, próbował zrozumieć doktor R.R. Lycette. Po sekcji zwłok w końcu doszedł do wniosku, że Lee zmarł na skutek obrzęku mózgu. Wtedy na jaw zaczęły powoli wychodzić kolejne fakty.

Okazało się, iż 10 dni wcześniej w studiu Golden Harvest, w trakcie podkładania dialogu do filmu, Bruce najpierw dostał ataku migreny, po chwili padaczki, a później na kilkanaście minut stracił przytomność. Już w szpitalu diagnozowaniem jego kłopotów zdrowotnych zajęto się aż czterech lekarzy, ale żaden z nich nie był w stanie jednoznacznie stwierdzić, dlaczego wystąpiły, ani przewidzieć ich konsekwencji.

ŚMIERĆ OWIANA TAJEMNICĄ ?

Wieczorem 20 lipca Bruce udał się do mieszkania swojej przyjaciółki Betty Ting Pei. Nękany kolejną migreną, zdecydował się zażyć aspirynę. Około 19.30 zasnął. Dwie godziny później, gdy próby wybudzenia go ze snu nie przyniosły rezultatu, było już wiadomo, że zmarł niezwykczony Bruce Lee. Miał 33 lata. Niedowierzające rzesze fanów niemal od razu zaczęły snuć hipotezy na temat jego śmierci. Winą np. obarczano mnichów z klasztoru Shaolin – Bruce miał rzekomo umrzeć od „ciosu wibrującej pięści” za wyjawienie tajemnic kung-fu.

W sierpniu tego samego roku widzowie obejrzeli ostatni film z udziałem Bruce’a Lee. Obraz zatytułowany „Wejście smoka” – wyprodukowany przez Warner Bros – już w pierwszy weekend zanotował niezwykle statystyki i znalazł się wśród dziesięciu cieszących się największym wówczas zainteresowaniem filmów w Hollywood. Jak można się domyślić, zysk był ogromny, bo przy budżecie wynoszącym 850 tys. „Wejście smoka” zarobiło aż 90 mln dolarów!

Rankiem 21 lipca 1973 roku świat obiegła tragiczna informacja o śmierci Bruce’a Lee. Brak oficjalnego komunikatu uwzględniającego przyczyny jego przedwczesnego odejścia sprawił, że w prasie, radiu i telewizji reporterzy snuli kolejne domysły, starając się wytłumaczyć zdezorientowanym milionom ludzi, jak mogło do tego dojść. Winą np. obarczano mnichów z klasztoru Shaolin – Bruce miał rzekomo umrzeć od „ciosu wibrującej pięści” za wyjawienie tajemnic kung-fu.

Ponadto film szybko stał się popularną rozrywką także w Europie. Szaleństwo zapanowało zwłaszcza wśród nastolatków, którzy chcieli być jak „słynny Bruce”. Na Starym Kontynencie więcej dowiedziano się wtedy o od dawna budzących ciekawość wschodnich sztukach walki. W dodatku „Wejście smoka” złamało nieformalną barierę, ponieważ głośno było o nim nie tylko na zachodzie Europy, lecz nawet w ograniczających wówczas dostęp do informacji i rozrywek „zgniłego Zachodu” krajach strefy sowieckiej, w tym w Polsce. W 2004



Bruce Lee, statua w Hongkongu | Pixabay.com

roku National Film Preservation Board dodał go do listy filmów National Film Registry, tworzących dziedzictwo kulturalne Stanów Zjednoczonych.

W ŚLADY OJCA

Bruce pozostawił po sobie dwójkę dzieci: córkę Shannon i syna Brandona. Co ciekawe, oboje poszli w ślady ojca. Shannon została producentką filmową, aktorką i scenarzystką, a Brandon regularnie występował w filmach akcji i przez lata ćwiczył kung-fu. Zmarł w wieku 28 lat. Został śmiertelnie postrzelony na planie filmu „Kruk”, podczas kręcenia jednej ze scen. Rewolwer trzymał Michael Massee. Broń, z której korzystał, została co prawda załadowana ślepymi nabojami, jednak w lufie znajdowała się też kula będąca pozostałością po powstających kilka dni wcześniej ujęciach z użyciem nieprawidłowo wykonanej amunicji szkolnej. Tajemniczości tym wydarzeniom dodaje fakt, iż osoba odpowiedzialna za używanie broni na planie filmowym była tego dnia nieobecna.

Brandon został pochowany obok ojca na Lake View Cemetery w Seattle.

Mikołaj Łukawski



KOSMICZNE MOŻLIWOŚCI

Podbój kosmosu służy celom wojskowym, wywiadowczym i coraz częściej przyczynia się do rozwoju usług, przemysłu czy samej nauki.

Umowna granica kosmosu to tzw. linia Kármána. Nad nią rozpościera się olbrzymia przestrzeń... do wykorzystania. Od kilkudziesięciu lat służy ona celom wojskowym, wywiadowczym, a obecnie coraz częściej wykorzystuje się ją jako miejsce do rozwoju usług, przemysłu czy samej nauki. Dzięki satelitom wędrującym po orbicie możemy przeglądać „internety”, łączyć lokalizację GPS czy robić przelewy międzybankowe. W kosmosie można również, jak się okazuje, kręcić filmy czy po prostu latać, zwiedzając jego zakątki. Wciąż jest w nim wiele do odkrycia, a każda planeta czy nawet Księżyc kryją w sobie niejedno bogactwo i pociągającą tajemnicę.



Fot. History in HD | Unsplash.com

Technologiczny skok w biznes

„Wchodzimy właśnie w drugą erę kosmiczną. [...] pierwsza w czasie zimnej wojny dotyczyła przede wszystkim systemów obserwacji, wykrywania rakiet balistycznych przeciwnika. [...] druga to rozwój gospodarki, zarabianie pieniędzy w oparciu o wykorzystanie przestrzeni międzyplanetarnej” – mówił na Kongresie 590 dr Jacek Bartosiak z firmy Strategy and Future.

Kosmos stał się polem nie tylko dla wojska, które używało i używa go do śledzenia ruchów przeciwnika, instalowania urządzeń szpiegujących itp., lecz także mo-



Fot. NASA | Unsplash.com

torem napędowym dla ziemskiej gospodarki. Za sprawą wcześniejszej rywalizacji między USA a ZSRR gwałtownie zaczęła rozwijać się technologia, która przeszła z czasem w użytkowanie cywilne. Na orbitę wynoszono pierwsze satelity, które umożliwiły transmisję danych; służyły do teledetekcji, czyli obrazowania powierzchni naszej planety. Tzw. zdjęcia satelitarne stworzyły nowej jakości telewizję, a także udostępniły z czasem funkcje geolokacji, czyli nawigacji GPS, z której korzystamy dziś m.in. w samochodach. Usługi pochodzące z kosmosu towarzyszą nam nawet podczas płatności – dzięki satelitom działa nasza synchronizacja z bankami. Co ważne, owych udogodnień wciąż przybywa. Stają się one coraz powszechniejsze i dostępne niemal na całym globie.

Możliwe jest to m.in. dzięki temu, że opracowuje się coraz tańsze sposoby na wynoszenie satelitów na orbitę – np. SpaceX wynosi je, używając wielokrotnie tych samych rakiet, przez co oszczędza mnóstwo pieniędzy, które trzeba by przeznaczyć na budowę nowych. Firma Elona Muska realizuje obecnie projekt „Starlink”, polegający na stworzeniu systemu telekomunikacyjnego składającego się z ok. 12 tys. satelitów umieszczonych na trzech wysokościach niskiej orbity ziemskiej. Umożliwiłby on dostęp do łączności internetowej we wszystkich miejscach naszej planety.

Księżyc – pierwsze kroki

Z kosmosem często kojarzą się nam wielkie wyprawy. Prawdopodobnie najbardziej znaną było lądowanie Neila Armstronga na Księżycu w 1969 roku. W ramach programu Apollo człowiek na Srebrnym Globie stanął jeszcze kilka razy na początku lat 70. XX wieku. Po drodze te stały się motorem napędowym dla rozwoju technologii. To właśnie dzięki wyprawom księżycowym wynaleziono zminiaturyzowane filtry wody, które stosuje się dziś w basenach, szpitalach czy w różnych procesach produkcyjnych, skafandry astronautów, które stały się pierwowzorem dla ubiorów ochronnych w ele-



ktrowniach jądrowych, czy koce termiczne wykorzystywane w wielu dziedzinach życia. W tamtym czasie misje na Srebrny Glob motywowane były głównie wspomnianą zimną wojną i rywalizacją między USA a ZSRR. Po kilku latach, z powodu braku potrzeby rywalizacji na tym polu oraz błędnemu przekonaniu, że Księżyc jest tylko

Fot. NASA | Unsplash.com



Powrót na Srebrny Glob

W ostatnim czasie to podejście się zmieniło. Pod powierzchnią naszego naturalnego satelity, a dokładnie w południowej jego części, wykryto bogate złoża izotopu helu-3. Jest on o tyle ważny, że mógłby być używany do produkcji paliwa rakietowego dla statków podróżujących na inne planety, na których w większości nie ma atmosfery tlenowej i normalne paliwo na nich się nie sprawdzi. Na Księżycu, poza wspomnianym izotopem helu, odkryto również zbiorowisko jaskiń lawowych, które mogłyby posłużyć jako idealna baza dla badaczy. Oprócz tego obserwacje z ostatnich 20 lat dowodzą, że na Srebrnym Globie znajduje się również woda. Występuje w formie lodu na biegunach, a w 2020 roku potwierdzono jej obecność także na stronie Księżyca oświetlonej przez Słońce. NASA w ramach programu „Artemis” ma dokładnie zbadać jej zasoby, by przygotować się na ponowne wystanie tam misji załogowej. Na około 2024 rok planowana jest stała obecność człowieka na Księżycu. Ponadto na jego wydłużonej orbicie ma powstać nowa międzynarodowa stacja kosmiczna Lunar Orbital Platform-Gateway. W jej konstrukcję zaangażowane są agencje kosmiczne USA, Kanady, Europy i Japonii. Stacja ma być wykorzystywana jako przystanek przesiadkowy dla kosmonautów eksplorujących Srebrny Glob, a potem służyć będzie wyprawiającym się w dalsze międzyplanetarne podróże.

Czerwony Mars

Wraz z rozwojem technologii stopniowo otwierają się będą możliwości dotarcia na inne, odleglejsze ciała niebieskie. Już od dawna, ze względu m.in. na chęć założenia kosmicznej kolonii lub po prostu możliwość

poszerzenia wiedzy o wszechświecie, poszukuje się odpowiednich planet, na które człowiek mógłby się wybrać. Najbliższą planetą spełniającą warunki jest Mars. Pod wieloma względami jest dosyć podobny do Ziemi. Jest tam grawitacja zbliżona do ziemskiej, atmosfera nie zawiera żadnych trujących gazów obecnych na wielu innych planetach, a temperatura – jak na kosmiczne warunki – zdaje się znośna, gdyż średnio utrzymuje się na poziomie minus 60 st. C. Przy odpowiednim sprzęcie możliwe jest zatem funkcjonowanie tam łazików, sond, a nawet samych ludzi. Na Marsie, podobnie jak na Księżycu, również znajduje się woda. Wokół biegunów rozciągają się lodowe czapy polarne, a badania NASA rzucają nowe światło na obecność wody w stanie ciekłym – ma się ona znajdować pod powierzchnią planety w okolicach równika. Wysłania ludzi na Czerwoną Planetę ma się podjąć Elon Musk ze swoim Space X. W 2019 roku zaprezentował on prototyp wielkiego statku Starship, który ma docelowo polecieć właśnie na Marsa. Przy 106 m wysokości, 9 m szerokości i udźwigu sięgającym do 150 t statek ma jednorazowo przewozić ok. 100 ludzi, co zapewniłoby opłacalność transportów na wielkie odległości, gdzie podróż może trwać kilka miesięcy.



Skalista powierzchnia Marsa sfotografowana przez Mars Pathfinder | Wikipedia, licencja CC BY-SA 4.0

Jak stamtąd wrócić?

Na Marsie ze względu na małą zawartość tlenu w atmosferze nie byłoby możliwości spalania normalnego paliwa napędzającego urządzenie. Silniki typu raptor działają jednak na ciekłym metanie, który na Czerwonej Planecie można uzyskać dzięki tzw. reakcji Sabatiera – czyli produkcji metanu z połączenia wodoru z dwutlenkiem węgla, ogólnie dostępnymi na Marsie. Dzięki temu lot powrotny na Ziemię będzie w ogóle możliwy. Elon Musk w 2017 roku, podczas wystąpienia na Międzynarodowym Kongresie Astronautycznym, zapowiedział dwie misje bezałogowe w 2022 i cztery misje, w tym dwie załogowe, w 2024 roku...

Poza Marsem istnieje jeszcze prawdopodobnie mnóstwo planet o warunkach zbliżonych do panujących na Ziemi.



Jedną z tzw. ziemiopodobnych jest m.in. Kepler 22b, znajdujący się w innym układzie gwiazdowym, bardzo przypominającym nasz Układ Słoneczny. Jest to planeta 2,5 razy większa od Ziemi, o temperaturze sięgającej prawdopodobnie 22 st. C. W 2014 roku odkryto kolejną ziemiopodobną planetę – Kepler 186f. Do tego roku odkryto jednocześnie 20 planet, na których pewnie znajduje się woda w stanie ciekłym. Jak się zatem okazuje, inne planety również mogą być w pewnym stopniu zdolne do życia. Kosmos, poza Ziemią, nie jest tylko próżnią oraz zbiorowiskiem gazów i skał. Może w nim zaistnieć życie, a w dłuższej perspektywie może zostać przez człowieka skolonizowany.

Kosmiczne filmy...

Do tej pory pełnometrażowe filmy fabularne, których akcja toczyła się w kosmosie lub była z nim związana, tworzone były z wykorzystaniem komputerowej animacji. Były tylko graficznym wytworem, nie mogliśmy zaobserwować na nich prawdziwych gwiazd czy planet. W samym kosmosie kręcono ewentualnie jedynie krótkie dokumenty przedstawiające np. lądowanie na Księżycu lub sceny z wnętrza statków. Jednym z nich był nakręcony w 2008 roku krótkometrażowy film „Apogee of Fear!” w reżyserii Richarda Garriotta, ukazujący w prześmiewczy sposób realia funkcjonowania na stacji kosmicznej. Z czasem poza ziemską atmosferę dotarło również kino pełnometrażowe. Na początku października tego roku na Międzynarodową Stację Kosmiczną przybyła rosyjska misja agencji kosmicznej Roscosmos. Jej członkowie, czyli reżyser Klim Szypienko i aktorka Julia Peresild wraz z astronautą i załogą ISS, w ciągu 12 dni kręcili ujęcia do nowego filmu pt. „Wyzwanie”. Opowiada on „historię lekarki, która zostaje niespodziewanie wysłana na Międzynarodową Stację Kosmiczną, żeby ocalić życie znajdującego się na niej kosmonauty”. Niewielka ekipa sama musiała poradzić sobie z dobraniem adekwatnego makijażu, nakręceniem odpowiednich ujęć i zdjęć, jednak podołała zadaniu. 17 października reżyser i aktorka wraz z pilotem powrócili na Ziemię. Nakręcone sceny z kosmosu mają zajmować ok. 40 minut całej produkcji. Co ciekawe, w ślady Rosjan idą Amerykanie. We współpracy z NASA i Space X swój kosmiczny film fabularny ma stworzyć w niedalekiej przyszłości Tom Cruise. ...i turystyka

Wraz z nadejściem XXI wieku latać w kosmos zaczęto również w celach turystycznych. Pierwszą osobą, która wybrała się w przestrzeń międzyplanetarną, nie w ramach konkretnej misji, tylko w celach czysto „krajoznawczych”, był amerykański biznesmen i naukowiec Dennis Tito. Za pośrednictwem firmy Space Adventures wykupił podróż na Międzynarodową Stację Kosmiczną i poleciał na nią 28 kwietnia 2001 roku. Po spędzeniu tam siedmiu dni wrócił na Ziemię. W 2002 roku podobną podróż odbył południowoafrykański milioner Mark Shuttleworth.



Fot. NASA | Unsplash.com

W 2005 roku na ISS poleciał Gregory Olsen – naukowiec pracujący w firmie produkującej specjalistyczne kamery. Dziesięć dni spędzonych na stacji poświęcił nie tylko na podziwianie widoków, ale także na prywatne eksperymenty. Każdego dzentelmena takie wyprawy kosztowały wtedy ok. 20 mln dolarów.

Podróż za 200 tys. dolarów

Obecnie lotów w kosmos w celach turystycznych jest nieco więcej. Oprócz wspomnianego Space Adventures wycieczki w przestrzeń międzyplanetarną oferują również takie firmy, jak Virgin Galactic, Starchaser, Blue Origin czy Aerospace. Większość z nich to tzw. loty suborbitalne – statki docierają do przestrzeni kosmicznej, czyli przekraczają umowną granicę kosmosu znajdującą się na 100 km wysokości, jednak nie wylatują poza ziemską orbitę. W trakcie takiego lotu pasażerowie przez kilka minut mogą doświadczyć m.in. stanu nieważkości, podziwiać gwiazdy bez właściwego dla obserwacji w atmosferze migotania i na własne oczy zobaczyć krzywiznę Ziemi. W usługach tych prym wiodą Virgin Galactic i Blue Origin. Ich właściciele, czyli Richard Branson i Jeff Bezos, w lipcu tego roku sami wybrali się na zwiedzanie kosmosu swoimi statkami. Co prawda ich wyprawy również kosztowały grube miliony dolarów, jednak z czasem wycieczki turystyczne w kosmos mają stać się bardziej powszechnie i tańsze.

Loty komercyjne Virgin Galactic na szerszą skalę mają ruszyć w 2022 roku. Do tej pory sprzedano już ponad 600 biletów w cenach od 200 tys. dolarów. Docelowo w ciągu następnych lat firma planuje wykonywać blisko 400 lotów rocznie. Co ciekawe, do uczestnictwa w locie suborbitalnym żadna z firm nie wymaga od potencjalnego turysty specjalnej kondycji. Żeby polecieć, wystarczy być w stanie pokonać siedem pięter schodów w czasie poniżej 90 sekund, mieć między 152 a 193 cm wzrostu i ważyć maksymalnie 100 kg.

Jerzy Walaszek



Od gwintówki do Springfielda



Fot. Luis Domenech | Heritage Rough Rider .22lr | Unsplash.com

Kolekcjonowanie broni historycznej staje się popularnym hobby. Jej miłośnicy spotykają się na wydarzeniach, na których prezentują swoje najciekawsze zdobycze.

W 2014 roku, według danych Komendy Głównej Policji, wydano 400 pozwoleń na broń historyczną. Już trzy lata później liczba ta wzrosła do ponad 5 tys. Przyczyną tego zjawiska jest z pewnością coraz większa chęć obcowania z historycznymi militariami i dawną techniką wojskową. Kolekcjonerzy starej broni spotykają się na eventach, gdzie prezentują swoje najciekawsze zdobycze. Podczas imprez jednym z najczęściej omawianych okresów historycznych jest XIX wiek. Dzieje się tak dlatego, że w tym czasie nastąpił gwałtowny rozwój broni strzeleckiej. Rywalizacja mocarstw europejskich sprawiła, że broń wojskowa stała się niezawodna i szybkostrzelna. Zastosowanie licznych nowinek technicznych było istotnym elementem wielu historycznych procesów, np. zjednoczenia Niemiec.

Spalić na panewce

Początek XIX wieku to okres, w którym dominowała broń z zamkiem skałkowym. Technologia znana była od XVII wieku. Zasada działania była dość prosta, polegała na uderzeniu kurka z krzemieniem o krzesiwo. Powstające iskry najpierw zapalały proch na panewce, a później doprowadzały do wybuchu w samej lufie. Ładowane odprzodowo muszkiety, wyposażone w prymitywny zamek skałkowy, charakteryzowały się niską celnością i długim czasem przeładowania. Dobrze wyszkolony żołnierz mógł oddać 3-4 strzały na minutę... o ile jego broń się nie zacięła. Najczęstszą przyczyną awarii było zawilgocenie prochu, co uniemożliwiało poprawne działanie. Od tych dość częstych niewypałów wzięto się



powiedzenie „spalić na panewce”. Duża awaryjność broni wymuszała specyficzną taktykę na polu walki. Piechota z okresu wojen napoleońskich musiała ustawiać się w zwarte szeregi. Przeciwnicy strzelali do siebie salwami, wykonując kolejne komendy oficerów. By zwiększyć celność i siłę ognia, oddziały piechoty liniowej skracaly dystans do 100 lub nawet 50 m. Zwykle po kilku salwach dochodziło do szarży i brutalnej walki na bagnety. Broń i taktyka nie zmieniły się znacząco do końca lat 30. XIX wieku. Jednym z ostatnich europejskich konfliktów, w którym masowo używano broni skałkowej, była wojna polsko-rosyjska z 1831 roku.

Hej! Gerwazy! Daj gwintówkę

Armie mocarstw europejskich i USA szybko zaczęły poprawiać swoją broń. Jednym z pierwszych pomysłów, opracowanych jeszcze w XVIII wieku, było gwintowanie luf. Dzięki tworzeniu regularnych bruzd wystrzelona kula stabilizowała swój lot, znacznie poprawiając celność broni. Rozwiązanie to wykorzystano w okresie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych (1775-1783). Amerykańscy farmerzy, uzbrojeni w gwintowaną broń myśliwską, stworzyli pierwowzór dzisiejszych snajperów. Ich głównym zadaniem była eliminacja brytyjskich oficerów i dowódców, co wprowadzało zamiesza-

nie w szeregach wroga. Duża celność pozwalała im strzelać z odległości nawet 500 m i znajdować się poza skutecznym zasięgiem karabinów brytyjskich.

Pomysł tworzenia specjalnych oddziałów piechoty wyposażonych w broń gwintowaną szybko podchwyciły inne armie. Podczas wojen napoleońskich tego typu oddziały tworzyli np. Prusacy. Według ich badań z 1810 roku karabin gwintowany na dystansie 220 m mógł być nawet czterokrotnie skuteczniejszy od klasycznego muszkietu. Po kongresie wiedeńskim rozpoczęto stopniową wymianę starej broni na rzecz nowocześniejszych konstrukcji. Problemem pozostawał wadliwy zamek skałkowy.

Skuteczny jak kapiszon

W dalszej poprawie osiągnięć broni wojskowej pomogły eksperymenty chemiczne. Na przełomie XVIII i XIX wieku angielski uczonec, Edward Howard, odkrył piorunian rtęci. Nowa substancja wybuchała pod wpływem uderzeń mechanicznych, co zostało szybko dostrzeżone przez konstruktorów broni. To oni opakowali piorunian rtęci w miedzianą miskę, tworząc pierwszy kapiszon. Pełna rewolucja nastąpiła jednak dopiero w 1818 roku, kiedy udało się stworzyć nowy zamek. Dzięki wykorzystaniu nakładanych kapiszonów wzrosła niezawodność broni. Według badań przeprowadzanych w różnych armiach na 10 strzałów aż 9 kończyło się odpaleniem. Dla zamka skałkowego wynosiło to około 4 do 10. Nowa broń weszła do powszechnego użycia w latach 40., biorąc udział w różnych konfliktach połowy XIX wieku. W wielu przypadkach broń kapiszonowa dowiodła zabójczej skuteczności. Podczas wojny krymskiej (1853-1856) doszło np. do niezwykłego starcia pod Bałakławą (1854) na Krymie. W decydującym momencie szarża rosyjskiej kawalerii zupełnie się załamała pod siłą ognia brytyjskich karabinów. Do podobnych sytuacji dochodziło też podczas wojny secesyjnej (1861-1865). Najstraszniejsze stało się wydarzenie kończące wielką bitwę pod Gettysburgiem (1863) – szarża Picketta. Atak konfederackiej piechoty przerodził się w katastrofę, gdyż nacierający zostali zmasakrowani ogniem wojsk Unii. Z 12 tys. żołnierzy biorących udział w szarży praktycznie połowa została ranna lub zabita. Taktyki z początku wieku stawały się coraz bardziej przestarzałe.

Rewolwerowa rewolucja Samuela Colta

Projekty stworzenia broni umożliwiającej oddawanie kilku strzałów z rzędu pojawiły się już w XVIII wieku. Wtedy do użycia weszły różnego rodzaju krótkie wielostrzałowe pistolety. Ponieważ były niewielkie, służyły głównie jako broń osobista podczas dalekich podróży. Ze względu na kształt ów typ broni nazywano „pieprzniczkami”. Niestety, były to konstrukcje bardzo skomplikowane i drogie



w produkcji, dlatego mogli sobie na nie pozwolić tylko najbogatsi. Przemysł rusznikarski zrewolucjonizował amerykański konstruktor Samuel Colt. W 1830 roku zbudował prototyp rewolweru bazujący na zamku kapiszonowym i obrotowym pięciostrzałowym bębnie. Pomimo że nowa broń nie wzbudziła początkowo zainteresowania wojskowych, to zdobyła dużą popularność wśród kolonizatorów Dzikiego Zachodu. Rewolwery pomagały im w walkach z Indianami, którzy dotychczas znali tylko broń jednostrzałową. Problemem pozostawała jednak wysoka cena. Wzrost zapotrzebowania na nową broń zmotywował Colta do założenia fabryki. Dzięki dużej mechanizacji produkcji udało się obniżyć cenę rewolweru z 200 do 25 dolarów. Nowe sześciostrzałowe konstrukcje stały się prostsze w obsłudze i miało do nich dostęp szersze grono odbiorców. Rewolwery tego typu znalazły zastosowanie podczas wojny secesyjnej. Co ciekawe, konfederaci, nie mogąc kupić broni u popierającego Unię Colta, zaczęli tworzyć własne, mniej udane kopie. Rewolwery zdobyły uznanie także w Europie, gdzie stały się m.in. jedną z ulubionych broni powstańców styczniowych.

Prusacy z karabinem odtłycowym

Mimo że europejskie armie stopniowo przezbrajały się na broń kapiszonową, powoli myślały o dalszym zwiększeniu szybkostrzelności pojedynczego żołnierza. Karabiny piechoty były jednak dalej ładowane odrzutowo, co wydłużało czas między kolejnymi strzałami. Rozwiązanie zaproponował francuski rusznikarz szwajcarskiego pochodzenia, Samuel Johannes Pauly. W 1812 roku zaprezentował pierwszą amunicję zespoloną: połączony w papierową łuskę proch, pocisk i kapiszon. Jego prace zostały przerwane tuż po upadku Napoleona – wynalazca popadł w niełaskę nowych francuskich władz.

Kontynuacją badań zajęli się uczniowie rusznikarza, m.in. niemiecki inżynier Johann Nikolaus von Dreyse. Po przeniesieniu się do rodzimych Prus udoskonalił amunicję zespoloną, pracował też nad bronią ładowaną odtłycowo. W 1836 roku Dreyse stworzył prototyp karabinu iglicowego. Owa broń odtłycowa umożliwiała szybkie przeładowanie dzięki sześciu ruchom. Nowa konstrukcja stała się w niedługim czasie podstawowym karabinem armii pruskiej. Odegrała też znaczącą rolę w procesie zjednoczenia Niemiec, gdyż zapewniła technologiczną przewagę nad przeciwnikami. Dobitnie pokazała to wojna prusko-austriacka, a dokładnie bitwa pod Sadową w 1866 roku. Żołnierze pruscy zasypali swoich przeciwników gradem pocisków, ponieważ dysponowali bronią o niemal czterokrotnie większej szybkostrzelności. Do tego Austriacy, wyposażeni w broń kapiszonową, nie mogli – tak jak Prusacy – wygodnie ładować jej na leżąco. Stawiali się przez to łatwym celem. Owej broni używano również podczas zwycięskiej woj-

ny francusko-pruskiej (1870-1871), której bezpośrednim następstwem stało się zjednoczenie Niemiec.

Karabin z ośmioma nabojami

W wyniku przegranej wojny z Prusami Francja utraciła Alzację i Lotaryngię. Doszło też do niespodziewanego upadku II Cesarstwa i licznych niepokoїв społecznych. Upokorzeni Francuzi zaczęli szukać rozwiązań, które umożliwiłyby im uzyskanie przewagi technologicznej. Jednym z nich było udoskonalanie rodzimej broni strzeleckiej. W okresie Wiosny Ludów wykradziono tajne plany prototypu Johanna von Dreysego, co umożliwiło Francuzom budowę podobnych konstrukcji. W dalszym rozwoju broni pomogła rewolucja w dziedzinie chemii. W 1886 roku francuski naukowiec, Paule Vieille, wynalazł proch nitrocelulozowy. W porównaniu do tradycyjnego prochu czarnego był mocniejszy i bezpieczniejszy w przechowywaniu. Ze względu na mniejszą ilość oparów powstających podczas strzału nazywano go prochem bezdymnym. Jeszcze w roku 1886 wynalazkiem zainteresował się francuski oficer, Nikolas Lebel, który wykorzystał go przy projektowaniu nowej broni i amunicji. Dzięki temu stworzył karabin powtarzalny, który zrewolucjonizował wojsko końca XIX wieku. Nie dość, że był zasilany mocniejszą amunicją na proch bezdymny, to jeszcze miał osiem naboїв w magazynku. W 1887 roku ową konstrukcję przyjęto do służby w armii francuskiej. Pojawienie się nowej broni rozpoczęło ogólnoświatowy wyścig zbrojeń, gdyż każde mocarstwo dążyło do posiadania własnego karabinu powtarzalnego na wzór konstrukcji Lebela. Zaczęły powstawać konstrukcje znane z okresu I i II wojny światowej, jak: rosyjski karabin Mosin (1891), brytyjski karabin Lee-Enfield (1895), niemiecki karabin Mauser (1898) czy amerykański karabin Springfield (1903).

Wstęp do wielkiej wojny

Rozwój broni palnej był często podyktowany rywalizacją mocarstw światowych. Każde dążyło jednak do uzyskania przewagi na arenie międzynarodowej. Wyścig zbrojeń przyspieszył pod koniec XIX wieku, przyczyniając się do budowy nowoczesnych armii. Już na początku nowego stulecia standardem stały się karabiny powtarzalne z kilkunabojowym magazynkiem. Do tego piechotę zaczął wspierać zupełnie nowy rodzaj broni, jak karabiny maszynowe. Niestety, w wielu przypadkach postęp technologiczny wyprzedzał znacząco rozwój taktyki, przez co ta druga była bardzo przestarzała. Ten zabójczy miks doprowadził do wielu tragedii w trakcie wielkiej wojny. Typowe szarże piechoty na karabiny maszynowe kończyły się wielotysięcznymi stratami. W bitwie pod Verdun szacowana liczba rannych i zabitych po obu stronach wynosiła łącznie ponad 800 tys. żołnierzy.

Bartek Hałatek



Portret Włodzimierza Tetmajera autorstwa Stanisława Wyspiańskiego | Wikipedia, licencja CC BY-SA 4.0



Pędzel I POLITYKA

W tym roku mija
rocznica urodzin
Włodzimierza Tetmajera.

160

Warto przybliżyć postać
tego nietypowego artysty.

„Chłop potęgą jest i basta!” – słowa wypowiedziane w „Weselu” Wyspiańskiego chyba na zawsze związały się z postacią Gospodarza. Rozmawiając z Poetą, musiał jednak podkreślić siłę i energię polskich chłopów. Dla Gospodarza lud był przecież najwyższą wartością, która mogła dać nadzieję na niepodległość Polski. Co ciekawe, gościnny artysta i chłopoman z dramatu miał swojego rzeczywistego odpowiednika. Był nim Włodzimierz Tetmajer – ludowiec, malarz, polityk i jeden z ważniejszych przedstawicieli Młodej Polski.

tymentem przedstawiał malownicze pejzaże Tatr i rodzinny klimat podhalańskiego dworku. Często podkreślał też wagę, jaką jego bliscy przykładali do patriotycznego wychowania: „W tym domu uczono nas niezachwianej wiary, że Polskę odbuduje kiedyś polski lud”.

TAK ROSNĄ ARTYŚCI

Włodzimierz Tetmajer uczył się w gimnazjum św. Anny w Krakowie. Prawdopodobnie wtedy zainteresował się malarstwem. Zaważyło to na jego przyszłym losie, gdyż ostatecznie odrzucił propozycję ojca, który nalegał na to, by syn studiował prawo. Karierę malarską rozpoczął w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu. Podróżował też do innych artystycznych stolic, jak Monachium czy Paryż. W tym okresie młody artysta ukształtował własny styl, którego rozpoznawczą cechą są sceny z wiejskiego życia codziennego. Przykładowo jednym z typowych dla niego obrazów było „Święcone”. Tetmajer przedstawił scenę świecenia pokarmów, gdzie na pierwszym planie znalazły się dokładnie odwzorowane postacie chłopskie. Studia za granicą wywołały u artysty tęsknotę za wawelskim grodem. Odwiedzając co jakiś czas krakowską Szkołę Sztuk Pięknych, Tetmajer miał okazję otrzymać recenzję swojej twórczości od Jana Matejki. Malarz pocztu królów polskich tak miał ocenić młodego artystę (z pamiętnika studenta Leona Kowalskiego): „[...] jak

Włodzimierz Tetmajer Dorobek (Rodzina artysty); 1905 Wikipedia, licencja CC BY-SA 4.0



LUDŹMIERSKIE DZIECIŃSTWO

Włodzimierz Tetmajer urodził się 31 grudnia 1861 roku w podhalańskim Ludźmierzu. Pomimo że matka zmarła niedługo po jego narodzinach i był wychowywany przez ciotkę i macochę, Julię Grabowską, dobrze wspominał dzieciństwo ludźmierskie. W swoich pamiętnikach z sen-



jestem u siebie na wsi, nieraz obserwuję, jak wczesnym rankiem obywatelki (chłopki) idą z konwiami po wodę, rzucając poza siebie głębokie niebieskie cienie. Ja widzę też i słońce, i kontrasty cienia odbijającego niebo, tylko że tego nie potrafię zrobić... Mam inne zainteresowania. [...] Dobrze że Pan poszedł tą drogą, obraz mi się podoba, proszę go skończyć”.

CAŁY KRAKÓW ODWRÓCIŁ SIĘ ODE MNIE

Na przelocie lat 80. i 90. XIX wieku krakowscy malarze, zafascynowani impresjonizmem, coraz chętniej wychodzili w plener, by malować na tonie natury. Poszukując inspiracji, natrafiali na chłopskie orszaki weselne wędrujące z Bronowic – parafią dla wielu mieszkańców wsi podkrakowskich był wtedy kościół Mariacki. Barwne stroje ludowe i żywiołowe chłopskie zabawy przyciągały artystów z miasta, którzy uwieczniali owe wydarzenia na płótnie. Włodzimierz Tetmajer udał się do Bronowic jako jeden z pierwszych malarzy. Na miejscu zaprzyjaźnił się z rodziną Czepców, a w końcu zakochał się w chłopce, Annie Mikołajczykównie. Wbrew woli ojca wziął z nią ślub, który odbył się 11 sierpnia 1890 roku. Małżeństwo z chłopką stało się obyczajowym skandalem, który doprowadził do wielu nieprzyjemnych komentarzy wymierzonych w artystę. Jak pisał Tetmajer do przyjaciela: „Wszyscy, cały Kraków odwrócił się ode mnie”. Najbardziej agresywną postawę przyjął jednak ojciec malarza, który do końca życia nie wybaczył synowi tego megalomanu.



Włodzimierz Tetmajer „Święcone”, 1897
Wikipedia, licencja CC BY-SA 4.0

ludowe. Efektem tej pracy była m.in. rozprawa z 1898 roku pt. „Gody i Godnie Święta, czyli okres Świąt Bożego Narodzenia w Krakowskim”.

Udane małżeństwo Tetmajera z Anną zainspiruje innego młodopolskiego artystę, poetę Lucjana Rydla. 20 listopada 1900 roku weźmie on ślub z Jadwigą Mikołajczykówną, siostrą Tetmajerowej. Niedługo po ceremonii rozpocznie się kilkudniowe wesele, które państwo młodzi zorganizują w Bronowicach. To właśnie ta impreza, której gospodarzem był Włodzimierz Tetmajer, stała się natchnieniem dla Stanisława Wyspiańskiego. W swoim „Weselu” uwiecznił zarówno postać Pana Młodego, jak i udzielającego gościny Gospodarza.

POLSKI DWÓR

Na początku XX wieku popularność malarza wzrosła, m.in. dzięki możliwości zaprezentowania jego dzieł na międzynarodowych wystawach w Wiedniu czy Lwowie. Wieloletnia praca artystyczna Tetmajera została doceniona – malarz otrzymał zlecenie na wykonanie neogotyckiej polichromii na Wawelu. Prace w kaplicy królowej Zofii, trwające od 1902 do 1904 roku, jeszcze bardziej rozstawiły bronowickiego malarza. Pomogło mu to w znalezieniu wielu nowych nabywców jego obrazów.

Wkrótce Tetmajer mógł pozwolić sobie na zakup starego franciszkańskiego dworku w Bronowicach. Po wyremontowaniu budynku i rodzinnej przeprowadzce „Tetmajerówka” stała się prawdziwym salonem artystyczno-literackim. Gościli w niej Reymontowie, Wojciech Kosak, Stanisław Wyspiański czy Henryk Sienkiewicz. Tadeusz Boy-Żeleński tak opisał Tetmajera i klimat jego dworku:

„Tetmajer stał się jedną z najbardziej charakterystycznych polskich figur, ze swoją swadą i humorem, z temperamentem równie zapalnym jak łatwo ulegającym depresji, z towarzyską rozlewnością i upodobaniem do gwarzenia przy szklenie. Sławne były jego kurdesze i inne staropolskie pieśni, jego improwizowane mówki najautentyczniejszym makaronizmem XVII w. Było w tym jego animuszu coś z Zagłoby, ale Zagłoby, który już czytał Sienkiewicza i bawi się po trosze sam sobą; przy tym coś z rozpieszczonego dziecka, które wie, że co szlachcic nawarcholi, to artyście przebaczą”.

Włodzimierz Tetmajer z rodziną w Bronowicach
Wikipedia, licencja CC BY-SA 4.0



MODA NA CHŁOPOMANIĘ

Włodzimierz Tetmajer niedługo po ślubie osiadł w Bronowicach. Dom, w którym zamieszkał, niewiele różnił się od sąsiednich chłopskich chat. Jednak malarz, mimo nędzy i trudności ze sprzedażą obrazów, rozwijał się artystycznie. Umożliwiała mu to m.in. własna pracownia. Tetmajer założył ją w pobliskiej stodole. Modelami byli głównie sąsiedzi, którzy pozwali mu podczas codziennych zajęć. Ponadto to właśnie w Bronowicach zaczął rozwijać badania etnograficzne. Spacerując po wioskach podkrakowskich, spisywał przyspiewki i zwyczaje



OD PĘDZLA DO POLITYKI

Duże sukcesy na polu artystycznym nie w pełni zadowalały Tetmajera. Ciągłe poszukiwał nowych okazji, by móc wykazać się patriotyczną postawą. W 1903 roku dołączył do formującego się Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jako polityk Tetmajer zajął się pisaniem artykułów na temat problemów polskiej wsi, a jego artystyczne talenty sprawiły, że szybko został głównym grafikiem tygodnika „Piast”. W 1911 roku wziął udział w kampanii wyborczej, która doprowadziła go do godności poselskiej w austriackiej Radzie Państwa.

Podczas obrad parlamentu wiedeńskiego brał udział w pracach Koła Polskiego. Szybko jednak zaczął krytykować ugodową postawę rodaków. Jak wspominał: „O kwestii polskiej nigdy w Austrii nie myślano na serio”. W obliczu coraz większego zagrożenia wybuchu światowego konfliktu polscy politycy próbowali przygotować się na ten scenariusz. Ludowcy, nastawieni niepodległościowo, podjęli współpracę z Józefem Piłsudskim. Przejawem tej inicjatywy było powołanie Włodzimierza Tetmajera na stanowisko prezesa krakowskiego „Strzelca”. Organizacja paramilitarna, działająca w latach 1911-1914, swoje ćwiczenia strzeleckie odbywała w Bronowicach.



Włodzimierz Tetmajer „Zaloty”, 1894
| Wikipedia, licencja CC BY-SA 4.0

W SŁUŻBIE OJCZYŹNIE

Wybuch wielkiej wojny przyniósł nowe perspektywy. Powołano Naczelny Komitet Narodowy, który miał stworzyć zaplecze dla polskich jednostek tworzonych przy armii austro-węgierskiej. Włodzimierz Tetmajer stanął na czele wielu komisji werbunkowych. Sytuacja polityczna zaczęła się jednak zmieniać, gdy kolejne klęski Rosji doprowadziły do okupacji jej zachodnich ziem przez państwa centralne. Władze Niemiec i Austro-Węgier, pomimo podpisania Aktu 5 listopada, który miał zachęcić Polaków do walki po ich stronie, umniejszały rolę polskich formacji. A gdy do wojny po stronie ententy włączyły się Stany Zjednoczone, nasi rodacy zmienili front. Jednym z tego przejawów była rezolucja Koła Polskiego z 28 maja 1917 roku, której projekt przedstawił i wygłosił Włodzimierz Tetmajer: „Polskie Koło Sejmowe

Duże sukcesy na polu artystycznym nie w pełni zadowalały Tetmajera. Ciągłe poszukiwał nowych okazji, by móc wykazać się patriotyczną postawą.

W 1903 roku dołączył do formującego się Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jako polityk Tetmajer zajął się pisaniem artykułów na temat problemów polskiej wsi, a jego artystyczne talenty sprawiły, że szybko został głównym grafikiem tygodnika „Piast”.

W 1911 roku wziął udział w kampanii wyborczej, która doprowadziła go do godności poselskiej w austriackiej Radzie Państwa.

stwierdza, że jedynym dążeniem narodu polskiego jest odzyskanie niepodległej zjednoczonej Polski z dostępem do morza i uznają się solidarnym z tym dążeniem”. W 1918 roku rozpadły się państwa zaborcze, co dało możliwość przejmowania władzy przez Polaków w poszczególnych regionach. Tetmajer wziął udział w wyzwoleniu Krakowa (28.10 - 31.10.1918), stając na czele wydziału wojskowego Polskiej Komisji Likwidacyjnej.

OSTATNIE LATA

Wielka sława polityczna sprawiła, że Włodzimierz Tetmajer został zaproszony na konferencję pokojową w Paryżu (1919-1920). Jednak w odrodzonej Polsce artysta skłócił się ze swoimi dawnymi towarzyszami. Marząc o ponadpartyjnym stronnictwie, nie mógł znieść ostrej rywalizacji między największymi ugrupowaniami politycznymi. Zrezygnował ze startu w wyborach do Sejmu Ustawodawczego i próbował wrócić do malarstwa, które porzucił w czasie wojny. Niestety, moda na chłopomanie przeminęła, a jego nowe obrazy spotkały się z ostrą krytyką. Pogarszał się również stan zdrowia artysty. Kolejnym ciosem była śmierć jego syna, Jana Kazimierza, który poległ w wojnie polsko-bolszewickiej. Owa wieść przybiła już i tak schorowanego malarza. Śmierć przyszła po Tetmajera niespodziewanie zimowym porankiem 26 grudnia 1923 roku.

Bartek Hałatek



MIEJSCÓWKI USZYTE NA MŁODĄ MIARĘ

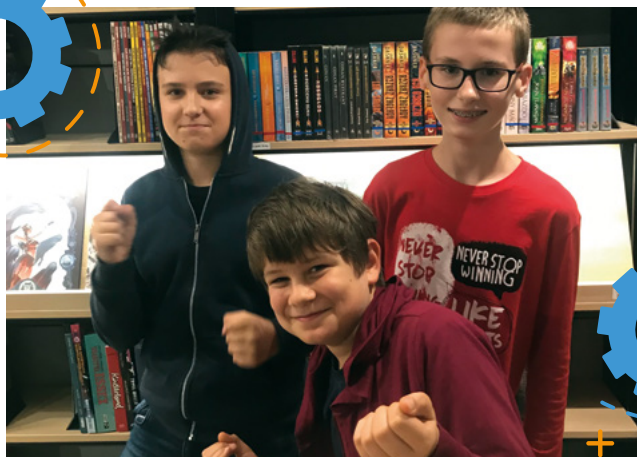
W Krakowie powstają bezpłatne przestrzenie dla młodzieży.

Jedna znajduje się na os. Piastów 22 w Nowej Hucie, druga przy punkcie bibliotecznym Filii nr 31 Biblioteki Kraków na ul. Zachodniej 7/3a, na os. Ruczaj. A niebawem powstanie kolejna na KozłóWKu. Pracownie to miejsca tworzone przez młodych krakowian, moderowane przez organizacje pozarządowe, które na co dzień zajmują się wsparciem młodzieży. Wszystko zaczęło się od niezaspokojonych potrzeb młodzieży, no bo gdzie się podział w mieście po szkole czy zajęciach, jeżeli nie ma się milionów monet na herbatki, rozrywkę i jedzenie? Gdzie można zrealizować własne inicjatywy albo skorzystać ze sprzętu audio czy wideo? Gdzie przysiąść wieczorami nad projektem czy pracą domową, gdy domownicy czy współlokatorzy zwyczajnie utrudniają skupienie? Ano w pracowniach właśnie. Pracownie to miejsca, w których można się rozgościć, poczuć jak u siebie, a przede wszystkim mieć wpływ na ich kształt.



Jak tworzymy pracownie?

Bywając w pracowni lub utrzymując kontakt poprzez media społecznościowe z moderatorami, decydujemy o tym, jakie książki czy gry będą się w pracowni znajdowały oraz jakie warsztaty będą się w niej odbywały. To make story short – decydujemy, co, kiedy i jak powinno się odbywać. Możemy sami organizować czas wolny lub poprosić o udział specjalisty, który pojawi się w pracowni i poprowadzi dla nas zajęcia, warsztaty czy wykład. Brzmi to dobrze, prawda? Czuć powiew zmian, szczególnie jeśli w szkole, do której uczęszczamy, nie mamy lub nie mieliśmy praktycznie żadnej decyzyjności.



Obrady przy stole Kapitana Ameryki

Świetnym przykładem jest Pracownia Młodych na ul. Zachodniej, od początku 2021 roku moderowana przez Stowarzyszenie Europe4Youth, które wspólnie z Biblioteką Kraków na 45 m2 dba, aby przytulna dziupla, pełna nowości komiksowych, literatury młodzieżowej, gier planszowych i gier na PS-a, odpowiadała gustom odwiedzających. Martyna i Piotrek to ludzie Europe4Youth – mentorzy, trenerzy i organizatorzy niezliczonych inicjatyw z młodymi i dla młodych. Oboje są konsultantami sieci EURODESK z informacją europejską dla młodzieży. Szukają informacji, które skutkują udziałem w międzynarodowych wymianach młodzieży, lokalnych projektach społecznych, wolontariacie czy obecnością na wydarzeniach o osobliwym charakterze. Tworzenie gier planszowych, sesje RPG, warsztaty rysunkowe, wspólne oglądanie filmów, klub książki, nagrania podcastów, tworzenie filmików, rozmowy o tym, co dla nas aktualnie ważne, czy wylegiwanie się na kanapie z padem w rękę to codzienność na Zachodniej.

Najważniejszy pierwszy krok!

Po niecałym roku funkcjonowania Pracowni Młodych na Zachodniej stwierdzamy, że najtrudniejszy jest pierwszy krok. Moment wahania, gdy zastanawiamy się, czy atmosfera, ludzie, miejsce pozwoli nam poczuć się autentycznie dobrze. Samo wprowadzenie, dzięki obecności Martyny, Piotrka, Michała z Biblioteki czy któregoś ze stałych bywalców, zajmuje 5 minut. Po tym czasie wiesz, że możesz mieć swój ulubiony kubeczek, gdzie można szukać paluszków, popcornu i herbaty oraz jak skorzystać z większości sprzętów. Pozostaje się rozejrzeć i zdecydować, na co dziś masz ochotę!

Martyna Olech

Skontaktuj się z nami

INSTAGRAM:

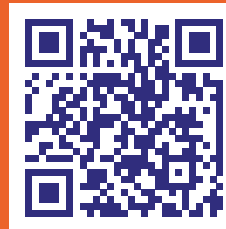
pracownia_na_zachodniej
kod QR:



Facebook:

Pracownia Młodych na Zachodniej
kod QR:





Młodzi = Przedsiębiorczy

Nagraj krótki filmik
Zgłoś się do konkursu
Zgarnij nagrodę

Termin zgłoszeń:
31 grudnia 2021

Więcej informacji:
www.mlodzi.krakow.pl

